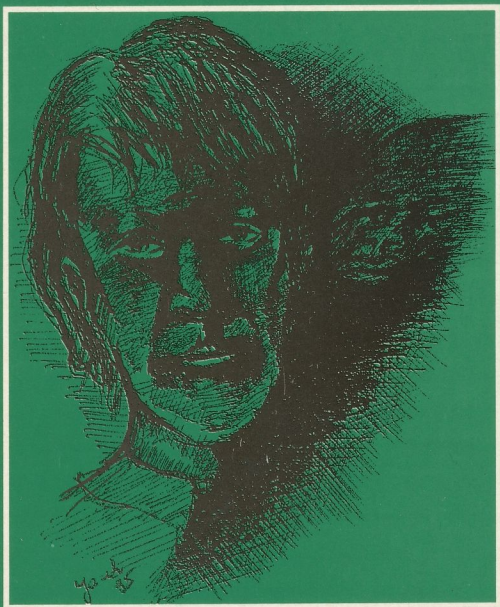


Jacek Guz WCIAŻ



Lubelska Oficyna Wydawnicza

WCIĄŻ

Wiem, że nie znajdę odpowiedzi.
Odpowiedź to wieczne pytanie, ciągłe zdziwienie,
olśniewające zaskoczenie.
Żeglując poszukuję, poszukując odsuwam mijanie.
Czynem, słowem, pocałunkiem wstrzymuję oddech chwili
na czas jej trwania;
oto wieczność.

*Wszystkim bezimiennym chwilom,
które zasługują na imiona
oraz wszystkim osobom,
których imiona nie są pustym dźwiękiem,
dedykuję.*

Jacek Guz

WCIAŻ

LUBELSKA OFICyna WYDAWNICZA

Lublin 1997

Na pierwszej stronie okładki
wykorzystano grafikę Autora

Wydano dzięki dotacji:
Wydziału Kultury, Sportu i Turystyki
Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie

Wydziału Kultury
Urzędu Miejskiego w Lublinie

Copyright © by Jacek Guz 1997

ISBN 83-86901-10-1

LUBELSKA OFICyna WYDAWNICZA • LUBLIN 1997

Lublin, ul. Złota 2

Druk: System Graf, Lublin, ul. Tyszowiecka 1

To tylko wiem

katedra z powolnego świtania utkana
kurwa poezja pijana w sztok
u bram poległa
drobiny tlenu wchłania jak karp
to jeszcze nie koniec
potrzeba mocniejszego w płucach przeciągu
słońce rarytas po dachach spływa
na chodnika popękane zadumanie
rozpościera niebo nad głową
pomruk lazuru
szczeliny minionego czasu
promień w ziemi rozwidla
utopia z utopią się stapia
Ziemia wciąż ma marzenie
być płaską

zza zasznurowanych murów ogrodów
czuć zapachów wyzwoloną tajemnicę
dziewica poezja w bukicie ze słów
zakwita w nieznane
aż zegar przystaje na ręce przeznaczenia
dając nam trochę czasu dla siebie

to nie do wiary tak być
katedrą poezją i wyteżonym spojrzeniem
i wiedzieć tylko to
czego się już potem nigdy nie wie

11.10.94

Co z resztą

z litery nieznanej
poszukiwanej każdą pełnią i zaćmieniem
na papier osiada zarysowany ledwie
zwichnięty amok pyłu
i biorąc długopis do ręki
mogę kropkę postawić za nim jedynie
skowycząc być tylko łuną
tulącą minione
czemu biorąc cię w końcu w ramiona
czuję zmęczony iż robiłem to stokroć razy
i jestem teraz już tylko nieczułą poduszką
z której uszło całe pierze wiary
czekając na następną rundę niuansów
w cieniu światła i w świetle cienia
w pełni pytaniem mogę być jedynie
: co z resztą się stało?

3.3.95.r.

Słucham Stonesów

słucham Stonesów
jestem gdzieś między młodością
a wiekiem nieznanym
tak jak kiedyś cofam taśmę
i na nowo odnajduję słowa między taktami
chciałbym napisać o tobie
ale wspomnienie o tym musi wystarczyć
na tyle tylko potrafię się po latach zdobyć
za oknem ołów
wiosna jeszcze błędna w nieokreślonym wymiarze
jeśli przyjdzie będzie właściwą porą
by się pozbierać i odnaleźć
jestem między snem a jawą
nie jestem młody ani stary
ołów za oknem pocięzał
marszczy się coś we mnie
jak niebo odchodzącej zimy
jak czoło wspomnień
jak czoło czekające zmiany
słucham Stonesów
cofam taśmę jak niegdyś
kiedy łatwiej się pisało
teraz między taktami tyle niedopowiedzeń

5.3.95

noc wypuszcza pędy
miasto to dach
pod którym świerszcz zaplątał się w muzyce
trawa to skoszony łąn snu
nic się nie dzieje
słowa skamieniały
posagi palców walczą z kawą i papierosem
skończył się jakiś czas jakiś zaczął
zegar połamanymi wskazówkami zagląda w serce
przecież nic się nie dzieje
to dlaczego wciąż pęka struna
i dlaczego wciąż gra

5.5.95

Ja głos stary

Ja głos stary głos siwy
Wietrzna i chciwa Ociosana krtkań z koronek
Spod tartacznej piły iskry trocin
Pielą grunt pod moje decybele
Moim akcentem przycinana trawa

Co się dzieje w sterylnej sylabie
Gdy ją wydaję obolałym przetykiem
Popycham językiem tępe zakończenie zdania
Ja głos mdły lecz godziwy
Pod stężone godnością głoski
Podtekst układam Usta jak do litanii
Którą poprzez palec brzytwy
W poprzek mej wargi starej namiętnie wypowiadam

Co tu szlochać pustym dźwiękiem
Szkoda oddechu i powietrznej plejady
Tego co wypowiedziane mogłoby się zdarzyć
Ja głos stary lecz żwawy wiem co mówię
Więc wołam – ja – głos przeżarty głos zdobyczny
Głos sędziwy i doświadczony głos z błędami:
– Kto mnie zawoła
Kto przerwie mnie w pół zdania

13.08.1995

Pełnia lata

O świcie słońce już się słania
Opowieść dnia nad zakrwawioną gazetą zawiesza głowę
Pełnia lata pełną gębą nas przeżuwa
Pod przejrzystym cieniem podniebieniem nieba
Kraczą drzewa i wciąż im dalej do ziemi
Z rycin domów ściekają okna dość mają patrzenia
Na misterny witraż dusznego powietrza

Po pewnym czasie spadnie deszcz
Hańbę suszy mokrą hańbą zakryje
Drzewa nic nie mówiąc zbliżą się do ziemi
Potem w niej przedwcześnie zgniją

22.08.95r.

Iluminacja

A więc jestem już jakiś czas po drugiej stronie
Wiem już także że to nieprawda iż są tylko dwie
Jak iluminator cienką warstewką światła
Przyjmuję i przekazuję dalej nieszczelność wrażeń
Ogień wypalił popiół zaniechany rozdmuchany zamysł
utrwalania

Cienka warstewka
Cienka warstewka światła w porach skóry
Krótki czas
Krótki czas drży na włosku sens dojrzewania
Po drugiej stronie stronie dziesiątej
Układ dziesiętnych przechodzenia i przenikania
Iluminacja wąty paproch uwiera tęczówkę
Po oku spaceruje i wciąż się kurczy karzeł

sierpień 1995 r.

Tylko początek jest jeszcze jakimś wyzwaniem

jesteś jak ostatni papieros ostatnia myśl nie kłująca
ostatnie ubranie znoszone i ostatnia deska najeżona zadrami
jesteś jak ostatni sen lekki o którym pamięć mnie zawodzi
jak ostatni kieliszek wódki który niczego nie może uleczyć
tylko ostateczność przelewa ponad mielizny nadziei

jesteś ostatnia ostatni ostatnie
a to co ostatnie bierzemy bo brać musimy
taki nawyk przyzwyczajenie taka konieczność
i nie pozostaje już nic własnego
od czego można by cokolwiek żądać

nie chodzi o kobietę ani o przyjaciela ani o wiarę
ani nawet Boga
idzie o złożoną białą kartkę która wciąż na nowo się składa
i pozostaje coraz to mniej miejsca na jakiegokolwiek wyznanie

i chodzi o wszystko na raz co mieści i nie mieści się na niej

wrzesień 1995

Będę

Będą tą kobietą przycupniętą
w rogu sieni
starą i pomarszczoną jak ściany
które latami czekały
by jej twarz także pokryła się zmarszczkami

Tym mężczyzną rozłożonym
na siwym tapczanie
który przez całe życie nie dorósł
by dosięgnąć mógł sufitu
i ten ciągle z góry z niego drwi

Być może kilkoma kobietami i mężczyznami
jak powyżej
może jeszcze zygzakiem blasku
w oku wnuczka słuchającego bajek

Oto cała misja
tylko dlatego się spalam
lontem drażenia wprost do ładunku
eksplozji czynu słowa i ciała

Ludzie umrą blask zgaśnie
nad szmerem ziemi będzie się wciąż unosić
myśl ta sama
kiedy runie ściana
do szmeru ziemi dołączy skwierczenie
rodzącego się jaśniejszego spalania

listopad 1995

Kreski i kropki

Wciąż wciąż od wciażenia
„ż” się ugina pod kropką
Grad kropek nawałnica
zawieszonych na twarzy
oczu uszu ust
Kropek myślników które wielością
w nieskończoność puszczone
mają przybliżyć określić
i ustalić czytelność
To ja wciąż ja
obijam się po wnętrzu
i coraz mniej poznaję
Miłość strach wiara lęk
wszystko najemne
w tym jestem dobry
Na zewnątrz wynajmują mnie inni
27.11.1995 r.

Skaza

I łąza co na oka ekranie
zastyga ślepym kadrem
I noc napięta
każdym ścięgnem czekania
I szklana cisza
podzwonna
w ferworze ciemności
niespokojna febra ręki
szuka oparcia
I krzesło co oparciem
uwiera
I niebo co się w oknie
nie mieści
I gwiazda co nie obejmuje
spojrzenia
I spojrzenie między ścianami
uwięzione
co niczym się nie zadowala
jakby na każdej rzeczy
tętniła skaza

styczeń 1996

Jazda

snop światła przed siebie
ciemność przebita na kilkadziesiąt metrów
dziewięćdziesiąt na godzinę
muzyka z „Czerwonego” s Kieślowskiego
odbija się od dachu samochodu
ogłusza samotność
jesteś przy mnie
w wewnętrznej kieszeni
ta noc ta jazda
całe życie tej drogi
jak moje

17/18 stycznia 1996

Doraźna chwila

doraźna jest każda chwila
miłość ukrzyżowana i seks zdjęty z krzyża
i kadłub nocy który co wieczór niecierpliwie wpływa
i dzień każdy który chętnie ma głowę na swój pień
przyzywa
doraźny wschód i zachód słońca spojrzenia z nagłą zgasłe
waży
kto ich doczeka w trumnie horyzontu pochowa marzenie
o trwałym

12.02.96

Kiedy otwieram drzwi

Kiedy otwieram drzwi smuga się rozszerza
Kiedy otwieram drzwi smuga się rozszerza i powietrze Kiedy
otwieram drzwi smuga się rozszerza
i powietrze uzyskuje kształt
Kiedy otwieram drzwi smuga się rozszerza
i powietrze uzyskuje kształt przestrzeń
Kiedy otwieram drzwi smuga jasna się rozszerza
i powietrze rzeźkie
uzyskuje kształt przestrzeń niepodległa

i znów zaczynam wierzyć w jej kolosalność
dopóki wzrok się nie oswoi i nie przyzwyczai
nie ochłonie nie przetrawi i nie okrzepnie
wtedy drzwi są znowu tylko drzwiami
aż do następnych nowego otwarcia powtórnego
naciśnięcia
kolejnego zapadnięcia klamki

marzec 96

Blizna

Między bolesną klawiaturą maszyny do pisania
a głębokim akordem który dławi radio
Między uchylonym oknem jutra
a mułem nocy który działanie w zdziwionej senności osadza
Jestem otwartym przegubem czekania
i zawsze bliżej
bliżej rozstania
przegub się zrasta

Między miękką sonatą dywanu
a skąpym echem stropu który wieńczy złudzenie
Między przegadaną rozmową
a nie dopowiedzianym milczeniem
Jestem otwartym przegubem
i zawsze bliżej
bliżej rozstania
jest jego blizna i rana

18/19 kwietnia 1996

Tej wiosny tego roku

Gdy ciało się składa do pieśni
labirynt duszy plądrują liście zeszłoroczne
jednością blasku i cienia
Kiedy o ziemię potyka się słońce
tej wiosny kolejna iluzja
żeby się stoczyć i zgnić
– do wilgoci się sprowadza sucha potrzeba –
żeby się zmarszczyć
trzeba przejść fantazję kwitnienia
W półmroku ziemia z niebem się styka
półmrok to właściwe miejsce do wytchnienia
przyszłych zapędów swędzeń dążeń zaćmień i upojeń
Drżą ręce drzewa trawa dzikim brodem stopy oplata
nieskromne myśli i wiersze zatrują tej wiosny powietrze
Kobiety poronią codzienność wygną ciała w rozwarte elegie
mężczyźni zanim dobieje ich zmęczenie odejmą krawaty
od szyi

W spalinach miasta zanim osaczy je żar
i lincz charkotu przewertuje słuch wiatru
przebiegnie nagi król i naga prawda bezsilności
do której nikt się nie przyzna sącząc chłodne drinki
i krew się nie przyzna że jej jak co roku wiosną pęka serce

maj 96

Obok

zmieniam mieszkania
zrzucam skóry i zakładam
się kto ją pierwszy z nas
przerznie opisze głębokie
wnętrze zachwytu

wciąż czczę gwiazdy
poddane księżycu
w wilgotnym koszyku mroku
trą się o ścianki
poszukujące ciepła narządy
wyzwalając spazm myśli

nad wciąż nowymi świecami
ogrzewają dłonie nowe imiona
fakty orgazmy adresy
pod które przychodzą
coraz cięższe przesyłki słów
a najważniejsze zawsze jest
gdzieś obok kartek zdjęć kroków

13 maja 96 r.

Twoje oczy

M.

oczy
tęczówki jak szmaragdy
źrenice jak sztylety
ale ja zaglądam w rogówki
pod powieki między rzęsy
patrzę na siateczki
czerwonych żyłek

nie ufam blaskom i mrugnięciom
wierzę czarnym punkcikom
rozbijającym obraz i składającym go
wierzę szmerom łez
których nie widać
a najbardziej
zamkniętym powiekom

czerwiec 96

Cóż można powiedzieć: wieczór jak co wieczór,
jak co wieczór podobny i co wieczór inny – chudszy.
Herbata paruje resztką tęsknoty,
gwóźdź obojętności wystaje ze ściany,
na nim myśli powieszone, na jutro przygotowane.

Wieczór się odkleja z albumu nocy,
jak co wieczór podobnie i co wieczór inaczej – wolniej.
Ręce bezsenności wyjmują mi oczy i ściskają,
lecz łzy nie nadejdą, sen nie nastanie.

Nie mam noża, żeby wbić go w serce,
nie mam serca.
Mam za to ciało nie swoje,
myśli przemyślane zbyt wcześnie,
obcych przyjaciół, znajome dreszcze
i powietrze, którym nie sposób oddychać.

Więc nie oddycham tego wieczora,
kiedy herbata skończyła z parowaniem
i gwóźdź wypadł ze ściany
i wyparowało powietrze, którym gardziły płuca
i którym nie miał już kto oddychać.

28 lipca 96 r.

grzbiety książek śliskie pajęczce wieczoru godziny
poranne topora godziny bliskie spotkania przyszłe
przeszłe pożegnań pocałunki zdradzieckie
chodniki za chwiejne to wiem wiem
i piękne wiosną jaśminu stery żeglowne łóżka
usta nieruchome pod oknem dzieci
pod dziećmi płaszcze wiosny lata zimy
jesienią oczy ziemiste to wiem wiem
i lekka deszczu zawiesina sieci mroku wyławiają włosy
we włosach wszystko wiatru bliskie
bliskość to usta otwarte i otwarta książka
lecz zamknięta głowa
pajęczce wieczoru godziny poranne topora godziny
pocałunki bliskie ulice wąskie to wiem wiem
i ptaki do nieba przycumowane
i nogi ziemi należne
to wiem
gniew

28.8.1996

Do widzenia

Kiedy wyjdziemy Lecz wpierw powiemy do widzenia
Będą jeszcze parować pytania nad krajobrazem twarzy
i łza na dnie kieliszka stoczy się poniżej dna
Do widzenia Ale przecież już nie zobaczymy zza mgły
ani akrobatycznej łyzy na brodzie kieliszka
ani nawet reprodukcji tamtych twarzy

Kiedy wyjdziemy to będzie rzecz ostatnia i święta
Bo tylko wtedy coś jest jest naprawdę
jeżeli nie da się tego powtórzyć
i tylko wtedy odchodzi się naprawdę
jeśli serce nakłute ćmi nieustannie
I wiemy wtedy że jest
jest na pewno
serce odchodzenie i trwanie

31.8/1.9.1996

Żądło pożądania

W strzępie chmury za którą rój gwiazd steranych rzezi
W nieustannych coraz cięższych makijażach nieba i twarzy
Jest cząstka w strupie szminki w smole tuszu
Krwi prawdziwej pod skórą czującą kropla pożądania

Być może tylko ten zryw krzyk i cisza
Wśród kurzu przypadków lśni wyraźną kreską
Cała reszta w tańcu obłąkanym pod niebem wymarżonym
Które co raz powątpiewa w swoją niebiańskość i wielkość

Żądło pożądania i nagle ten ból ciszy
Chciwość chwili i potrzeba zatrzymania
Pośród kurzu który nie ustaje
Ostrą pręgą w oku tkwi

11.9.1996 r.

Chemia

Jest między nami reakcja
chemiczne zapasy hormonów
Jest między nami królestwo wzorów i liczb
pasja spalania i gorycz dymu
Kameralną atmosferą szkła probówki otoczeni
wszystkie lakmusy barwimy na krwistoczerwono.

Parowanie skraplanie tarcie ciepło
na orbitach marzeń ciężko dodatnie elektrony
W świecie syntez i analiz nikomu nie dzieje się krzywd
da Duchowość to też pierwiastek
tylko trochę mniej obliczalny i symetryczny
o odczynie bardziej ludzkim.

Ale co jest poza rzędem i szeregiem
poza ogniem dymem liczbą i równaniem
Jaki bat nad potrzebą jaka prowokacja dla impulsu
skąd przeczucie że przyjdiesz
skoro obliczam i wniwecz się obraca wszelki rachunek.

Jaki wzór ciszy którą zamieszkuję
jątrzącą się raną nadziei
i jaki w tym absurd
że osusza ją czyjeś słońce.

Jesteśmy reakcją dopóki jesteśmy blisko
dopóki zamyka nas wspólny nawias.

13/14/17.9.96.

Bluźniercy

Hałas w oczach gaśnie
Z wolna wychodzimy z deszczu
Nie jesteśmy samotni
Samotny jest w nas Bóg
I ten zgiełk który jeszcze nie raz
Przez oczy przetoczy obrazu zgrzyt

Wychodzimy z deszczu powolnego
Co chciał krajobraz zmyć
Lecz my żywi krwią i kością
Ostrzejsi niż zgrzyt
Szlifujemy pejzażu pomnik
Co chwilę odślaniany błysk
Podajemy Bogu ramię
Dniu rozżarzony świt

2.12.96

Ponad krzyk ultramaryny

na przyczółku nocy
jak ścięty krzyk ultramaryny
ciało papieru zwija się do kosza
furia potrzeby milczy
będziesz tylko muskał
wciąż ledwie dotykał tajemnicy
palcami niemymi
ustami zapchanymi zachwytem
nad unoszącym się i opadającym świtem
los rzeczy objawi się o zmierzchu
bo ludzki co dnia zamierzchły
i palce nieme
i usta zapięte zachwytem
chcąc godnie przeżyć życie
barwami wyprawia cię w podróż
ponad krzyk ultramaryny

16.12.96

Dzisiaj

Dzisiaj chcę mieć klapki na oczach
dzielne serce opancerzony umysł
Nie chcę być tobą tobą ani tobą
Dzisiaj hołubię samotność
Czuję się jak śnieg
Jestem świąteczną gałązką

Dzisiaj jestem świętym
mogę odkupić wszystkie winy
ludzi którzy zapomnieli o pustym nakryciu
wybaczyć tym którzy rozkładali je z trwogą
że ktoś przyjdzie
mogę cierpieć samotność za tych
którzy się przy nim nie pojawili
Dzisiaj mogę wszystko
Mam zamarzniete serce

Dzisiaj rodzisz się we mnie
z nową porcją przebaczenia
i nowym krzyżem
lecz co roku jesteś mniejszy
coraz trudniej
cię objąć i pojąć
Dzisiaj pod choinką nowe pytania
a odpowiedzi tyle
ile igieł
na wszystkich
świątecznych drzewkach świata

Więc dzisiaj chcę być
zabalsamowaną wiarą
niewy tłumaczną radością
Urodzić się razem z tobą

25.12.96

Taki jeden wieczór

U ujścia dnia delta wieczoru się rozgałęzia
Mróz kac i pustka przywiodły nas do tego lokalu
Dym rozsiadł się wygodnie nad głowami
Jest piwo i na szczęście nie znane twarze
Stolik się kołysze pod łokciami i tylko on jest pewny
Oraz to że wyjdziemy stąd razem
Ja i czarnowłosa uśmiech

Nie mogę się upić ani tak od razu cię pokochać
Pytasz o żonę
Nie nie mam
Mam życie rozsiane po krańce uśmiechów przesiąknięte
łzami
Podzielone między knajpy i książki
Między nicość zatrzaśniętą na cztery spusty
A rozwarte niebiańskie bramy między łóżka i pisanie
Poszukiwaniem nieuchwytnego jestem odegrany
Ale teraz jestem naprzeciw
Chciałbym się upić i tak od razu cię pokochać

Noc ze smyczy spuszcza gwiazdy
Księżyc się przeciąga zahaczając o dachy
Wciskasz się w moje ramię
Z zimna a nie z czułości
Zresztą kto wie jak jest naprawdę
Gdy u ujścia ulic
Dłoty naszych dróg szeroką wstęgą się rozlewają

28.12.96

Szachy

To nic że szkło przejrzyste na wylot
muzyka się kończy i muzycy przedwcześnie umierają
To nic że zadra wielka jak statek wielorybiczny
harpunami w duszy zakotwiczyła
Zadra jest by cierpieć i się zrażać
Cierpienie by się oczyszczać
Zrażenie by się odnawiać
i zarażać czułym uporem

To nic że piersi kobiety wiotczeją
przysięgi próchnieją i wieczny jest tylko testament
To nic że pożera nas pamięć
koryguje umysł zwodzą słowa
a dotyk w błędzie dotykania nie ustaje
Że poeci zamiast pisać tego popijają
jednym duszkiem zalewając wypaloną próżnię
To nic to taka gra
szachy upadania i powstawania
Jedno pole się zajmuje drugie zwalnia

29 XII 1996 r.

I

Kiedy krąży nad ogniem dym
nad dymem spojrzenie
i воск staje się stały
rosną wyobrażenia o trwałym
niedosycie ognia

Kiedy okna wyglądają
na przedmieścia snu czekania
i wiary
nadchodzi zmrok osacza kontury
i wszystko zostaje zastane

Kiedy ból się rozchodzi
po kościach
kości sztywnieją do wytrwania
i kościom trzeba przysporzyć mięśni
żeby przetrwały

I kiedy wreszcie ogień
przebija okna ból i kości
płomień traci pogranicze z rzeczywistością
I tylko „i” pozostaje
na stałe

31.12.96

Coś się kończy coś się zaczyna

D.

Coś się kończy:

w środku zimy pęka zgorzkniała ziemia,
śnieg dostaje gorączki, zmęczenie topnieje.
Wszystkie przeżyte lata stają się powieścią,
którą czytam z dobroduszną wyrozumiałością.

Coś się zaczyna:

ziemia się zrasta w żyzną bliznę,
śnieg staje się parą, wędruje do nieba.
Wiatr dodaje ptakom skrzydeł, rymuje się z włosami,
zakrywa nagość drzew.
Manekina przenika zapomniane tętno.
W piersi dnia żywiej bije słońce,
pod żebrami nocy sen się odpręża.

.....

Nurt pragnienia się wzbiera,
podskórne prądy
podstępny dreszczem
dopadły gładką nerwu cerę.

Oszołomiony pytam: co, co jeszcze poza światłem
w świetle mieszka,
jak daleko można przeniknąć czyjeś spojrzenie,
jak głęboko w nim zamieszkać?
Nurt się uspokaja,
kleszcze brzegów korygują zakola.

Dlaczego,
dlaczego tak łatwo zatracić się w nurcie,
tak trudno utrzymać się na brzegu,
czemu nie da się w świetle zamieszkać na stałe,
czemu ciemność całego złego nie zaprzęga
do swego mrocznego biegu?

8.1.97

Prawda

Targnięty niemocą, rozpaczą klęski,
podrapany porywem szczeciny czułości,
szczezłby, złuszczył się, odpadł, przepadł na wieki
– cynik – sztafaż człowieczej niedoli.

W rozkraczonych bramach słońce nie sięga
szczyń, przekleństw, suchego chleba.
W ileż wszedłem, z iluż się wynurzyłem
rozdziawionych przystani, iluż kołków nie sięgnęła lina.

Dryf obłoku rozbitego na niebie
nadyma się jak żagiel;
wyrusza marzenie, pamięć zostaje.
Ten co pod niebem rozdarty jak płótno.

Więc to już nie cynik krew czarną upuszcza,
której martwe pragnienie gruda strachu gasi.
A nad strachem barokowe mamidła:
gęsty zarost mrówczej pracy i szybki jak para gest kabotyńa.

Co by nie mówić, ile ubrań nie wkładać –
prawda jest śliska i naga.
Dlatego tak często się wymyka i równie często zawstydzą,
a najgorsze, że tylko przez chwilę jest naprawdę prawdziwa.

28.2.97

Serce bije w stereo

moje serce bije do ciebie
bije w stereo
bije nierówno
sopran wzbija się ponad bas
bas tłumi sopran
drżą płomienie ciszy
nie wiesz co myśleć
przytulić się do sopranu
czy uciec w bas

wszystko traci znaczenie
życie to coraz bardziej pospolity minerał
ale moje serce wciąż tak samo
bije
nierówno
bije do ciebie
bije w stereo
raz ciszej raz głośniej
zagłuszane kwadrofonią ścian

3.3.97

Nuta

Rafałowi Wojaczkowi

Nuta o ton od najwyższej głośniejsza
Nisko zaczynała – barytonem przetapianego tłuszczu
Brzmieniem przypiekanego krwistego mięsa
Teraz skwarkiem wystrzeliła
Nad kiełbasą nie do ugryzienia się wałęsa
Nuta o ton od najwyższej głośniejsza
Której początek sięga zbrukanej niewinności
Codzienności przegniłej
A rodowód ze zwątpienia nie może się wylizać.
Wyszła ślina sperma i ciecz wszelka
Wyszła rzeka lecz brzeg jak czyrak brzemienny
Przecięty buldożerem dźwięku
Nuty która o niebo nad niebo miała wysłować przekleństwo.
Rasa przekleństwa nieznana
Pięciolinia dla nuty za wąska
Partytura na człowieka nie ukończona na życie źle rozpisana
Z mroku oprócz charczenia nic się nie uwalnia
Partia krwi zbyt nagła partia miłości zbyt pośpieszna
Partia głosu się zadręcza że zawsze jest na końcu języka.
Wyszła rzeka lecz nie rana
Pod skórą piękna wciąż się odnawia
Tony niespokojne segreguje konserwuje rozpoławia
Nuta o ton od najwyższej głośniejsza nie krzepnie
Nad pięciolinia spalonego mięsa dźwięczy i trwa
Choć dawno już skończyła się gama.

9.7.96/12.3.97

0 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19 20 21 22 23 24 25 26 27 28 29 30 31 32 33 34 35 36 37 38 39 40 41 42 43 44 45 46 47 48 49 50 51 52 53 54 55 56 57 58 59 60 61 62 63 64 65 66 67 68 69 70 71 72 73 74 75 76 77 78 79 80 81 82 83 84 85 86 87 88 89 90 91 92 93 94 95 96 97 98 99

THE RESULTS.

$\frac{1}{\sqrt{2}} \begin{pmatrix} 1 & -i \\ 0 & 1 \end{pmatrix}$

narkotyczny uwiad w pachwinach, pod żebrem i skórą
na krótki błysk zamykający nas w niewysłowionej klatce.

Trzeba po męsku wyczyścić karabin z rdzy,
zarepetować twardym zarostem ciężkich przejść,
których nie mało wywazało nasze drzwi,
by naddatek dobrego nastroju ze smakiem zjeść.

Samopoczucie wyobraźni trzeba mieć na uwadze
szczegółnej i nie pozostawiającej żadnych wątpliwości,
kto prowadzi w tym tańcu, kto ma władzę;
kto ma prawo grymasić, wznosić się i złościć.

Niebezpieczeństwo tkwi też w kieliszku szybkim,
naprędce objętej przygodnej dziewczynie.
Trzeba w ramiona tchnąć rozważę gibką,
a kłująca egzaltacja bezpowrotnie minie.

Przehandlujmy cały nadmiar tęsknot i wrażeń,
weźmy czynny udział w rozbabranym, codziennym eposie.
Dawno już przecież puściły wiązadła marzeń,
po co się oszukiwać, zbierać gorzkich strof pokłosie.

Zaróbmy pieniądze, które rządzą tym marnym światem,
wcale nie najlepszym i najpiękniejszym z możliwych.
Wydajmy książkę serdeczną własnym nakładem:
z białymi stronami – od gorączki i łez – pustymi.

maj/czerwiec 97

Jest jak jest

pamięci Josifa Brodskiego

Jest południe Nie samo Trochę po
Jest papieros uwięziony w dłoni
Sięga filtra rozważanie Jego żar gaśnie na palcach
Pod nabrzmiałym ciastem nieba Niezgrabny fragment
czasu i świata

Mogłaby być prorokiem Jaskółka z łukiem skrzydeł
Nie stało cięciwy I ptak umknął bliżej
Rozwartej ciepłoty śliskiej Będzie padać
Póki co jest jak jest Szkoda gadać Znikąd wsparcia

Ale zawsze nieopatrznie Tych kilka słów
Się ciśnie Czy to z mrożonej pary krystalicznie
Czy też z drgających falbanek tropiku się wyłania
Potrzeba ku pokrzepieniu ku głębszej zgryzocie
Umyka przed grobem

Samotności Świst sylab błysk oka odwracanie głowy
I patrzenie przed – na organ zwany przyszłością
Wiecznie poddawany operacjom modulacjom tęsknotom
Wpisany w rejestr zwiększonego ryzyka

Jest trochę po kolejnym najgorszym Trochę po południu
Przed deszczem i przed następnym „szkoda gadać”
Pachnie błękitem Wypieczone ciasto nieba
Nad niezgrabnym fragmentem czasu i świata.

10.7.1997 r.

Poemat osobisty

Ocaliłem, co się dało;
więcej niż mógłbym przypuszczać,
mniej niż bym chciał.
Podsycany burzą, nocą bezseną, niecierpliwym wiatrem,
czyimś na krótko niewinnym sercem,
traktowany bez przerwy pałą braku,
z brzytwą nie odstupującą ani na cięcie szyję strachu,
popędzany niedoskonałości gniewem,
impulsem targany, z czołem, sercem dłońmi
pod wysokim napięciem,
ściskany imadłem rozsądku
między jednym szaleństwem a kolejnym wierszem;
zabrnałem zdyszany jak zgonione zwierzę —
w klatkę bez krat,
niewidoczny dla nikogo prócz mnie
świat nieustannych wyborów mniejszego zła.

Szczęśliwy, kto nie zastanawia się, po co jest,
dla którego być, to tak jak jeść chleb,
pielegnować ziarno kochanych ust,
patrzeć na przeciwległy brzeg,
do którego pewnego dnia przybijesz;
obejrzysz rany, zaleczysz, wypijesz nawarzone piwo,
popatrzysz, posłuchasz, pogadasz i zrozumiesz,
że to tylko przystań, że nie ma takiego miejsca,
i żeby znaleźć nie zawsze trzeba biec,
bowiem nie odległości grają tu pierwsze skrzypce.

Odpowiedź to następny wiersz, który niczego nie wyjaśnia,
po prostu w piękno i brzydotę brnie,
wrywa nieskończoności smakowity kęs,
to wiatr, który improwizując rozpędza partyturę liści
i symfonia za każdym razem inaczej brzmi,
nigdy nie wiadomo jak się skończy,
choć za każdym razem jest oczywiste,
iż ten ostatni ton nie mógł być inny.

To, co widziałem, o czym pisałem, mówiłem, o czym milczałem;
co przetoczyło się z hukiem, co cicho w kącie siedziało,
co uciekło przerażone, co krążyło niewidzialnie,
co przystało w zadumie na chwilę, co na zawsze pozostało:
jak dysharmonii tępy dysk stało między mną a ciszą,
w której sen czystego akordu się tli,
gdzie dźwięk bezimienny szuka swej szansy,
aby popaść w niepowtarzalny rytm.

Pilem wódkę ze złodziejami,
w aulach blasku rozprawiałem o filozofii z tymi,
których cała mądrość zawierała się w kilku recytowanych
książkach.

Patrzyłem, jak chłopcy zgłębiali duchowość ostrą szprycą,
jak zbrojni w atrybuty i rekwizyty,
zdobyte podczas wędrówek po pokładach podświadomości,
chcieli przechytrzyć życie a później śmierć,
i jak pokonane przez miłość i życie
czołgały się cuchnące fantomy przez obojętną krew
w stronę zawsze rozwartych ramion śmierci.

Dużo słuchałem, obserwowałem,
dostrzegłem rzeczy, których nikt inny nie zauważył,
nazwałem kilka spraw po swojemu;
język był mój, słowo okazało się wspólnym.

Włóczęc się po nocach szukałem oczywistych prawd,
nieuchronnych zakątków ciszy,
łapałem w oczy krzyk gwiazd,
na wskroś otwarty na wiatr
widziałem przez moment nieruchomy czas.

Chciałem znaleźć w dniu potwierdzenie nocy,
lecz się zawiodłem,
chciałem odnaleźć nocą smugę dnia,
ale bezowocnie zasnąłem.

Chciałem poprzecinać zardzewiałe pręty rutyny,
zakpić z codzienności.

Buntowałem się przeciw głupocie i pojednaniu z zadowoleniem,
wobec tego, co i jak jest;
starłem się być w opozycji do cierpienia,
nie zawsze i nie do końca ufałem szczęściu.
Rzadko kiedy wydawało mi się coś być oczywistym
i bez zastrzeżeń.

Karmiłem się rozmową, książką, nową twarzą,
ograniczonością ulic i bezkresem pól,
muzyki dreszczem, mgłą melancholii, winem, podróżą,
słonecznym i zachmurzonym niebem.

Żeby nie zwariować piłem na umór, malowałem
wściekle obrazy,
błogosławiłem ziemię dołu poematem,
zakochiwałem się – nie zawsze szczerze.

Ocaliłem, co się dało;
może to niewiele, ale kilka snów śpi spokojnie,
parę marzeń nie roztrwoniło się w bezgranicznym
swobody powiewie,
trochę dobrej pamięci głowie się przydarza.

Przyszłość – co prawda niepewna – na przygniezionej trawie
teraźniejszości swój ciężar rozważa.

Planeta rzucona w pobjawisko gwiazd
paniczną trajektorią podąża w pośpiech, drzenie,
w euforię, emfazę i strach.

Wylatują z gniazd skrzydła pozbawione korpusów,
księżyc wisi na włosku, ma się wrażenie,
że za chwilę runie w dół,
poharata nagłym światłem ciemną twarz ziemi;
pod powiekami nocy zbiera się szlam rozleniwionych komet,
tęskna pieszczota pospieszna.

Stoję na peronie, wiecznych odjazdów unosi się gwizd,
niewiele powrotów spaceruje po stacji.

Ktoś podnosi gazetę, ktoś je, ktoś śpi.

Chciałbym na moment coś przeoczyć, upaść w sen,
zamroczyć obuchem mgły bezsenne sumienie,
nieznany kolorem skarcić wzrok,
zetrzeć gumką dworzec;

obudzić tego, co śpi, rozedrzeć noc jak nie doczytaną gazetę,
razem z tą, co je, księżyc na deser zjeść
i fluorescencją ogłupić świat.

Lecz trzeba coś zachować, coś ocalić,

a to czasem oznacza beczynnienie w gorączce tkwić,

nim się nie ujarzmi zroszonej krwi,

nim się nie odetnie z mięszu chwili polipa złudzeń;

a to czasem oznacza tętnić,

konwulsyjnie być najostrzejszym promieniem błysku,

najtwardszą krawędzią mroku,

nim się nie opamięta rozsadek,

nim nie obrośnie w tłuszcz zuchwałość,

nim cisza nie zabębni w zmęczony profil zdarzeń.

Zanim dym zacznie się snuć jak mętna opowieść
przebrzmiałego żywiołu
i wiązać jeden koniec pogorzeliska z drugim
– stoję na peronie, nie potrafię niczego przeoczyć,
więc się zastanawiam: cóż jeszcze można ocalić,
a o czym wolno zapomnieć.

maj 1997

Spis treści

To tylko wiem	5
Co z resztą	6
Słucham Stonesów	7
Struna	8
Ja głos stary	9
Pełnia lata	10
Iluminacja	11
Tylko początek jest jeszcze jakimś wyzwaniem	12
Będę	13
Kreski i kropki	14
Skaza	15
Jazda	16
Doraźna chwila	17
Kiedy otwieram drzwi	18
Tej wiosny tego roku	20
Obok	21
Twoje oczy	22
Pustka	23
Gniew	24
Do widzenia	25
Żądło pożądania	26
Chemia	27
Bluźniercy	28
Ponad krzyk ultramaryny	29
Dzisiaj	30
Taki jeden wieczór	32
Szachy	33
I	34
Coś się kończy coś się zaczyna	35
Prawda	37
Serce bije w stereo	38
Nuta	39
Do Arthura Rimbaud	40
Jest jak jest	42
Poemat osobisty	43



AUTOR wydanych w 1995 roku *Genów* (Nagroda Literacka Młodych im. Józefa Czechowicza) oddaje w ręce czytelników kolejną książkę poetycką: *Wciąż*.

Jacek GUZ ma w swym dorobku wiele publikacji – reportaży, opowiadań, wierszy, rysunków.

„Żeby pisać, trzeba najpierw żyć” – twierdził Saint-Exupéry. Jacek w pełni się z tym zgadza.

Robił różne rzeczy, miał się rozmaitych zajęć. Jednak pisanie jest tą główną osią, wokół której wszystko się obraca.